

Tym razem, gdy stosunkowo wcześnie dotarliśmy do Narodowego Forum Muzyki, w hallu natknęliśmy się na grupę sławnych kompozytorów. Szczególnie wyróżniała się sylwetka Agaty Zubel, która nie występowała tego dnia, miał zostać natomiast wykonany jej sławny utwór Unisono II na głos, akordeon i elektronikę. Twórczość Agaty Zubel mocno jest związana z jej charyzmą jako wykonawczynie. Z ogromnym podziwem słuchałem w wywiadach z nią, że śpiewu zaczęła się uczyć profesjonalnie bardzo późno, chcąc wreszcie zapewnić muzyce nowej oddaną wykonawczynię. I udało jej się, co jest niesamowite i nie często spotykane. Obecnie Agata Zubel jest nie tylko kompozytorką, ale jedną z najlepszych ambasaderek muzyki współczesnej. W wielu swoich kompozycjach jednakże bardzo mocno związała swoją wrażliwość i wyobraźnię wokalną z dziełem.

„Czy uda się to zaśpiewać komuś innemu?” – zastanawiałem się widząc kompozytorów znikających w windzie na drugą kondygnację i odkładając płaszcz do wielkiej, ale czasem nie dość dużej szatni NFM. Na szczęście to wyzwanie podjęła Joanna Freszel, nagrodzona licznymi wyróżnieniami sopranistka obdarzona niezwykle pięknym głosem i ogromną kulturą wokalną. Dzięki niej koncert stał się nieustającą podróżą w najdalsze światy wyobraźni. Było w nim to, co w muzyce nowej najlepsze, czyli wrażenie wolności i ciągłego pędu odkrywców po mityczne „nowe”, nie było natomiast wcale momentów męczących, niepewnych, w których nie wiadomo, czy zawinił kompozytor czy wykonawca. Zresztą przedstawione dzieła, poza jednym może, słabych momentów w sobie nie miały.



Joanna Freszel / fot. Leszek Zych

Pozostałych dwoje wykonawców godnych było znakomitej śpiewaczki. Przy elektronice zasiadł Cezary Duchnowski. Już wiele, wiele razy, jak wiecie z lektury moich recenzji, zajmowałem się koncertami muzyki elektroakustycznej. Elektronikę obsługiwali najwięksi twórcy z całego świata. Nie tak łatwo ocenić wkład obsługującego elektronikę wykonawcy. Wydaje mi się jednak, że przy setkach porównań odsłuchowych, na jakie miałem okazję, Cezary Duchnowski jawi się jako wielki wirtuoz elektroniki. Zarówno swoim jak i nie swoim utworom narzuca jakąś siłę, jasność, wewnętrzną logikę, z nim przy komputerach od razu robi się ciekawiej. Drugim wykonawcą był akordeonista Rafał Łuc. Jak to bywa przy tego typu koncertach, akordeon tylko momentami brzmiał tak, jak w dziełach powstałych dawniej. Dużo było stukania, dmuchania, większość

dźwięków melodycznych od razu była przetwarzana przez elektronikę. Jakkolwiek by nie było, brzmiało to świetnie, również dzięki kompozytorom oczywiście, którzy umieli w swoich partyturach ten instrument wykorzystać.

Koncert otworzył Fere Vetus Canticum na sopran, akordeon i elektronikę Cezarego Duchnowskiego. Joanna Freszel, zanim zaczęła śpiewać, spojrzała na nas jakby przekornie i z jej ust, jak i z akordeonowych pasaży wylał się oszałamiający ciąg dźwięków nawiązujących trochę do świata Weberna, który coraz większe grono neoromantyków odsyła do lamusa. Ale tu te niosące w sobie lśniący i elegancki modernizm dźwięki ułożyły się, dzięki świetnie wykorzystanej elektronice, w przestrzenny pejzaż pełen tajemniczego życia. Jak to się zwykle dzięki dobrej muzyce opuściłem „tu i teraz” i powędrowałem wyobraźnią daleko poza Wrocław i NFM, sam nie wiem zresztą dokąd. Może do Głogowa, gdyż średniowieczny Śpiewnik Głogowski był jedną z inspiracji kompozytora. Nie jest to dziwne, że polifonia średniowieczna inspirowała współczesnych estetych złożonej formy...

Unisono II na głos, akordeon i elektronikę Agaty Zubeł Joanna Freszel wykonała inaczej niż kompozytorka. W jej głosie nie było tej mieszanki dzikości i subiektywizmu, co u twórczyni. Było natomiast jeszcze więcej klasycznego piękna, dzięki czemu Unisono zamieniło się w swoisty madrygał naszych czasów. Wydaje mi się, że takie jak najbardziej melodyjne, eleganckie i piękne wykonanie służy muzyce Zubeł, gdyż jest ona podskórnie bardzo tonalna, podobnie na przykład jak dzieła wielkiego amerykańskiego kompozytora Georga Crumba. Oczywiście Freszel nie brakowało wszelkich zapisanych w partyturze niecodziennych efektów głosowych, nie mających wiele wspólnego z klasycznymi technikami śpiewu. Ale artystka tam gdzie się dało wpuszczała ambrozię klasycznego wokalnego piękna, podobnie jak na przykład tancerz klasyczny tańcząc w

nowoczesnej choreografii włączałby sztukę baletu klasycznego tam, gdzie jest na to miejsce. Wydaje mi się, że takie podejście wykonawcze bardzo służy muzyce nowej. A zwłaszcza tym dziełom, które są odkrywczymi, ale nie są złośliwymi czy wręcz wrogimi wobec przyzwyczajonych estetycznych zatopionych siłą rzeczy w przeszłości słuchaczy. Ani Joanna Freszel ani Agata Zubeł nie chcą jak młody Boulez palić muzeów, jednak tworzą rzeczy świeże i nowe.

Teraz muszę sięgnąć po program koncertu, gdzie Kaja zaznaczyła mi zmienioną kolejność utworów. Ja też próbowałem to zrobić paznokciem na swoim programie, ale teraz, w świetle dnia widzę, że nie za bardzo to wyszło. Zmiany kolejności utworów w koncertach muzyki współczesnej są trudne dla krytyków muzycznych. Pamiętam tę kolejność, ale wydaje mi się, że mapa emocjonalna mi się nie zgadza, że muszę mieć solidną pomoc, aby przypisać moje wrażenia do konkretnych utworów. Nie są to bowiem dzieła, które słyszy się równie często jak muzykę romantyczną czy klasycystyczną, tę sprzed dwustu lub stu lat. Na szczęście ma płyty Zubeł i Duchnowskiego, co jednak bardzo pomaga, gdy znów wchodzi się w ich muzyczne światy na koncercie. Warto te płyty mieć i warto w te światy podróżować.

Trzecim dziełem zaprezentowanym na koncercie była polska premiera dzieła *Longue durée amerykańskiego kompozytora Christophera Trapaniego*. Tytuł dzieła odwoływał się do sławnej francuskiej szkoły *Annales* i oznacza „długie trwanie”. Swego czasu byłem bardzo zafascynowany tą głęboką, kompleksową wizją historii, której długie tomiście gwarantowały autentyczne wyprawy w czasie. Geografia była ważna dla tej szkoły, stąd *Morze Śródziemne*, jako jeden z głównych pejzaży tego francuskojęzycznego utworu. Dzieło zaczęło się aż za bardzo po francusku, jakimś trzpiotkowatym gadaniem, raczej rodem z paryskich kawiarenek niż z XII wiecznego Kraju Katarów, na

*który ostrzy swe miecze kruczata Francuzów. Ale później, bardzo szybko zresztą, pejzaż akustyczny, francusko – wokalny amalgamat rozlał się w uroczy pejzaż Morza Śródziemnego znany z obrazów niektórych postimpresjonistów. Znam francuski, ale nie byłem w stanie śledzić fabuły tego dzieła, język został zbyt rozbity. Więc nie wiem, czy moje wrażenia są adekwatne do warstwy literackiej dzieła. Utwór kojarzył mi się z Morzem Śródziemnym, ale nie domyśliłbym się, że ma związek z wielką szkołą historyków. Tym niemniej był bardzo urzekający i oczywiście świetnie wykonany.*

*I ti hoćeš da se volimo Milicy Djordjević, serbskiej kompozytorki był krótkim utworem opartym na surrealistycznej poezji serbskiego poety Vasko Popy. A konkretnie na wierszy „I ty chcesz, żebyśmy się kochali”. Kompozycja miała w sobie coś z muzyki ludowej i ludowej emisji głosu, przechodząc w mowę i w neoekspresjonizm. Joanna Freszel zachęciła nas do zabawy z tym utworem, polegającym na domyśleniu się, o jakie kochanie tu może chodzić. Spodziewałem się zatem bardzo zmysłowych dźwięków, jak w niektórych neomadrygałach wielkiego i czasem szokującego Ligetiego. Ale nie, utwór pozostał dla mnie hermetyczny. Mój serbski nie istnieje, może z nim byłoby mi łatwiej. Po świetnym i rozmarzonym Trapanim dzieło serbskiej kompozytorki zabrzmiało mi nieco zbyt szaro, ale nie było złe.*

*Dziewięćset dwudziesty roczek Wojciecha Błażejczaka powstał w oparciu o naszą wojenną historię. Dało się w nim usłyszeć kilka pieśni wojennych z tych czasów. Zaczynał się i kończył pejzażem pola bitwy, z wyjącem Rudrą – jak musi dodać osoba, która spędziła tyle czasu w Indiach co ja. Rudra to wczesne wcielenie wielkiego boga Trimurti – Sziwy, boga niszczyciela. Rudra miał spokojniejszy, choć związany tematycznie fach. Wył na pobojuwiskach. Tym się właśnie zajmował. Bardzo mi się spodobały pobojuwiska w utworze Błażejczaka, oraz piękne,*

*bezdźwięczne niemal wycie Freszel. Na marginesie muszę dodać, że to dobrze, że nasi przodkowie walczyli w tym 20ym roku, choć w wojnie nic dobrego zdecydowanie nie ma.*

Utwór Hemliga tecken norweskiej kompozytorki Maji Solveig Kjelstrup Ratkje napisany do języka szwedzkiego okazał się być zadziwiająco grzecznym dziełem ostro eksperymentującej kompozytorki. I nudnym moim zdaniem. Było to napisane w rytmie tanga coś podobnego do kabaretowych songów z lat międzywojennych. Germańskie brzmienie szwedzkiego budowało tę samą poetykę dźwiękową co brzmienie niemieckiego czy jidysz. Przez ten dłużący się utwór oczekiwałem jakiegoś szaleństwa, odejścia od nudnej i ogranej formy, tak jak na przykład mistrzowsko czynił to Berio. Ale nie, nie było nic takiego. Coś tam się lekko chwiało, słychać było, że to może nie jest tylko jakaś kabaretowa piosnka, ale to chwanie nie wzbudzało takich świeżych emocji, jak na przykład schönbergowskie aranżacje Brahmsa. Widać było, że Freszel dba o całość kształtu koncertu i jego dramaturgię. Zmiana stylistyki była ciekawym zabiegiem, ale po prostu utwór był moim zdaniem za słaby na tle dzieł bardzo dobrych.

Na szczęście koniec koncertu był bardzo mocny. cROSSFADE Cezarego Duchnowskiego okazało się potężną symfonią na głos, akordeon i elektronikę. Muzyka wzbiła się w powietrze jak rakietą i zachowując wciąż swój pęd i rozmach zawiodła nas, poprzez dźwięki mocne i industrialne, do jakiejś tropikalnej dżungli. Od Freszel kompozytor wymagał nie tylko śpiewania, dmuchania, gwizdania, syczenia i bezgłośnego „hhh”, ale także bębnienia w policzki. Artystka skończyła to dzieło z czerwoną twarzą!

Oczywiście nie wiem, czy moje wrażenia z cROSSFADE mają wiele

wspólnego z wizją kompozytora. Może w końcowej dżungli wcale nie chodziło o dżunglę, ale znów o Annales. Dlatego na koniec mojej recenzji przytaczam wypowiedź kompozytora, którą możemy znaleźć na stronach Warszawskiej Jesieni:

*„Kompozycje z cyklu cROSSFAde z formalnego punktu widzenia mają być dedykowane duetom rozumianym w sposób klasyczny, jako muzyczna obsada wykonawcza, bądź inny, zakładający szczególną formę zderzenia dwóch artystycznych wizji. Polem penetracji jest próba uchwycenia zjawisk na styku, pomiędzy, i nie chodzi tu o efekty kompromisu, ale raczej o fuzję postaw radykalnych.*

*Permanentne zmiany są treścią naszej rzeczywistości. Im bardziej niepostrzeżenie zmieniają się nasz światopogląd, hierarchia wartości czy gusta, tym mniej złożona, niż jest w rzeczywistości, wydaje się ścieżka przemiany.”*

No i wszystko jasne! Prawda? Natomiast jakkolwiek by nie było z Annales i ich ewentualnym brakiem, koncert był znakomity zarówno dzięki kompozycjom, jak i dzięki doskonałym wykonawcom. Jeśli boicie się muzyki współczesnej, musicie spróbować pójść na taki koncert. A zmienicie zdanie. Gwarantuję.